

Dominika Kluźniak

# MIEJSCE



Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci est zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Barbara Lepionka  
Ilustracja okładkowa, projekt okładki: ULABUKA

Wydawnictwo HELION  
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice  
tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63  
e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)  
WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!  
Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres  
<http://editio.pl/user/opinie/miejsc>  
Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-5484-5

Copyright © Dominika Kluźniak 2019

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Kiedy spojrzycie w prawo, zobaczycie krętą, wąską drogę, która znika zaraz za altaną, dalej są już tylko wzgórza i las. W dole widać pięć domostw, niskich, krępych i niezbyt kolorowych, właściwie pasujących tu do każdej pory roku, takich typowo polskich wyblakłych brył o niezdecydowanej i niejednorodnej architekturze. Po lewej stronie natomiast króluje mocno pochyły stok, obsadzony u góry wysokimi sosnami, a bliżej mojego domu starymi jabłoniąmi, czereśniami i śliwami. Dalej, za stokiem, znowu kilka wzniesień, pięknych, krągłych i miękkich. A jeszcze dalej po prostu wznoszą się góry. Ale myślę, że to nie jest łatwe wznosić się i wzrastać ponad innych, być silnym i pięknym. Budzić zachwyt i lęk. Pozwolić targać się wiatrom i smagać letniemu słońcu. Porastać mchem, kosodrzewiną i sosnami, aby na koniec pozwolić wichurze wyrywać z siebie korzeń po korzeniu. Przyjmować chłód i opatulać się mgłą, zezwolić ludziom zejść ze szlaku, zagubić ich, poplątać ścieżki, by ostatecznie wyprowadzić zbłąkanych na szczyt lub wytęsknioną drogę. To nie jest łatwe królować nad dolinami. To się udaje tylko najmądrzejszym. Patrzyć z góry, lecz nie wywyższać się. One to jednak potrafią, te moje Śnieżne Kotły. Potrafią stać spokojnie. Jak ja teraz.

Oczywiście jako dziecko nie zastanawiałem się nad takimi rzeczami. Wtedy góry były tylko takim czymś, na co można się ewentualnie wspiąć, co każdego ranka widzisz z okien domu, lub nie widzisz, bo nagle zniknęły całe we mgle. O nie, jeszcze wtedy góry nie wzbudzały nawet szacunku, bo moim światem rządili wówczas tylko dorośli. Jeśli więc w ogóle patrzyłem na nie w dzieciństwie z ciekawością, to tylko dlatego, że babcia opowiedziała mi, jak powstały. Mówiła o czasach, kiedy Pan Bóg przemierzał swobodnie świat, na którym nie było jeszcze ludzi. Opowiadała o górach, dolinach i lasach, które zachwycały pięknem, choć nikt przecież nie mógł tego wówczas potwierdzić. Widział je tylko Pan. Opowiadała o spokoju i ciszy, która przepęłniała ziemię...

Ale któregoś dnia również Zły zawędrował w te strony i zobaczył Karkonosze oświetlone blaskiem wschodzącego słońca. Zdało mu się, że widzi rzecz nieskończenie doskonałą, więc, jak to zwykle ze złym bywa, poczuł w sobie moc nienawiści. Jego olbrzymie dłonie zaczęły szarpać darń i wyrwać górskim stokom wnętrzości. Kamienie wybierane jego pazurami ułożyły się po chwili w okazały stos. Jakże olbrzymia musiała być ta siła, która kierowała aniołem, że udało mu się usypać górę najpotężniejszą w całej okolicy! Ale on tego nie widział, nie czuł. Pracował do wieczora. A wtedy spadł pierwszy śnieg i pokrył wyrwane w złości głązy. Przysypał też swoimi płatkami dwa ogromne wgłębienia, które Zły wyrwał w zboczach gór.

Odstąpił na kilka kroków. Obrzucił wzrokiem swoje dzieło i zrozumiał, że po raz kolejny popełnił błąd. Coś, co postano-

wił zniszczyć, zmieniło tylko kształt i formę. Lecz pozostało piękne. Odszedł. Podobno z podkulonym ogonem.

Gdy byłem dzieckiem, zastanawiałem się nad tym ogonem i nad samym stworzeniem zwanym Złym. Nie potrafiłem sobie wyobrazić kogoś tak wielkiego, kto jednocześnie nie był przecież zwyczajnym olbrzymem. Kogoś, kto rozpruł górom brzuch, kto ustanowił nowy szczyt. Jakież musiały mieć rozmiary! Jednocześnie, co rozumiem dopiero teraz, nie będąc wcale człowiekiem głęboko wierzącym, zrozumiałem, że w tej sile było tyleż samo bezsilności. Bo góry pozostały cudem, a kiedy ziemia wokół w końcu się zaludniła, ludzie nadali im najpiękniejsze nazwy. I tak stos usypanych przez Złego kamieni nazwali Śnieżką, a dwa wgłębienia — Śnieżnymi Kotłami.

I to je właśnie widzę codziennie, kiedy stojąc w drzwiach mojego domu, obracam głowę lekko w lewo.

Ten dom nie pojawił się w moim życiu przypadkiem. On już na mnie czekał od dzieciństwa. To w nim spędzałem każde wakacje, nim stałem się dorosły. Potem rzecz jasna, zajęty życiem, o tym domu niemalże zapomniałem. To znaczy on był ze mną i we mnie zawsze, ale niezbyt blisko. A momentami bardzo daleko. Raczej jako tło, jak część krajobrazu z dzieciństwa, jak wspomnienie, którego nic nie zatrze oprócz codziennych spraw, bo te — nawet jeśli są błahe — potrafią przesłonić wszystko. Czekał na mnie, choć dawno przestał należeć do kogokolwiek z mojej rodziny. Zapłaciłem za niego gotówką, bo stać mnie było na to, ale nie od razu się urządziłem. Chciałem zobaczyć, jak to wszystko nam się

razem poukłada. Mam na myśli siebie i dom... Moja matka też tak robiła. Nie urządzała niczego pospiesznie. Budowała dom latami, obracając się wśród zaufanych przedmiotów, powiązanych z nami przedziwnymi zbiegami zdarzeń, kupowanymi rozsądnie i z namysłem. Z kolei moja siostra wiecznie urządzała się na nowo, martwiąc się liczbą stolików i komód, które zakupiła i o które przewracała się potem w mieszkaniu, gdyż miała w zwyczaju ustawiać je w nie najlepszych miejscach (za kanapą, przed kanapą, obok kanapy, przy wejściu do któregoś z pokoi, tak aby można było zawsze spokojnie nadziać się na któryś róg któregoś stolika. Kiedyś zastałem w jej salonie kanapę otoczoną meblami z czterech stron. Nie wiedziała, co zrobić, była w rozpacz, bo każdy mebel bardzo jej się podobał, a żadnego nie miała serca się pozbyć). Była przy tym zawsze jakoś z tego zadowolona i bardzo niezadowolona jednocześnie, bo „nie tak miało być!” i „inni mają ładniej”...

A ja nie zabrałem nic z mieszkania w mieście, sprzedałem je tak, jak je urządziłem, ze wszystkimi meblami. Zabrałem książki, muzykę, zdjęcia, grafiki i kilka drobiazgów z kuchni. Nie dlatego zostawiłem tamte rzeczy, że się na nie obraziłem. Już chyba wspominałem — lubiłem je, ale co innego tam, a co innego tu. Tutaj wiele rzeczy by nie pasowało... Na początku zresztą ja też do gór nie pasowałem. Co innego, kiedy byłem dzieckiem, bo dzieci pasują do każdego miejsca. Jako dorosły jednak byłem tu obcy, na szczęście dość krótko. Nie dostosowałem domu do siebie, nie zmieniłem płotu, nie sprowadziłem tu miasta. Raczej próbowałem się wpasować, nieinwazyjnie, bez zbytniego rzucania się w oczy.

Zawsze kiedy człowiek decyduje się w życiu na raczej duże zmiany, inni zadają mu mnóstwo pytań: dlaczego to zrobił, co go ku temu skłoniło, czy się nie boi itd. Mój pomysł był w sumie dość oklepany, o takim pomysłe na życie napisano sporo książek, więc nikt nie mógł nawet bąknąć, że spadłem z księżycy. W ogóle ten pomysł trudno nazwać czymś wielkim. Wielki to może być plan, wielkie bywa dzieło, przedsięwzięcie. Ja niczego nie planowałem. Po prostu poczułem, że zaczynam podawać w wątpliwość moje dalsze funkcjonowanie w taki sposób, w jaki żyłem. Nic więcej!

Trudno też dziś, gdy się siedzi spokojnie w cieniu swojej dojrzałości, podpierając się siłą wieku, powiedzieć, jak to się dokładnie zrodziło. Kiedy po raz pierwszy szukałem domu w górach, przeglądając ogłoszenia w internecie? Kiedy zacząłem wychodzić z pustego mieszkania na długie spacery? Którego dnia nie oddzwoniłem do kumpli, bo nie miałem w głębie niczego do powiedzenia? W który wieczór nie odpisałem na maila z telewizji z propozycją przedłużenia na kolejny sezon umowy na mój program?

Nie wiem dokładnie, kiedy to się stało. Ale trwałe zmiany zachodzą jednak dość długo, więc choćbym bardzo chciał przyznać, że ta przemiana we mnie zdarzyła się pewnej jesieni lub że zrozumiałem wszystko w ciągu jednego tygodnia, niesiony powiewem wiosennego powietrza, to tak nie było. Zastanawiam się nawet, czy to się jakoś nie nazywa, to, co się we mnie wtedy wyprawiało, ale nie mogę znaleźć odpowiedniego słowa. Robiłem nadal swoje, ale coś się we mnie przestawiło i jakoś to wszystko zaczęło wyglądać inaczej.

A może to się zaczęło wtedy, kiedy Ona zginęła i żeby nie zostawiać mnie samego — zostawiła mi swoje oczy. I tak zacząłem patrzeć na świat. Jakbym nagle mógł patrzeć za nas obydwójce.

Z takich dziwnych zmian właśnie składała się moja decyzja o wyjeździe. Powolutku to się samo klarowało. Niczego nie musiałem podsycać ani przyspieszać. To było nawet przyjemne, kiedy te zmiany tak przepływały przeze mnie. Ja je tylko rejestrowałem i anektowałem, bo przecież skoro same przyszły, to były już moje.

I tak pewnego wieczoru wylądowałem po raz ostatni na Placu. Nigdy nie lubiłem tam być i nie pamiętam kompletnie, jak to się stało, że usiadłem ze znajomymi właśnie tam. Piłem piwo i rozmawialiśmy o hotelach w Polsce. Wieczór był już ciepły, choć jeszcze nie na tyle, żeby całkiem się rozluźnić. Ale ja się właśnie rozluźniłem. Przestałem myśleć o tym, że powinienem coś mówić, i wyłączyłem się kompletnie. Do tego stopnia, że został mi przed oczami obraz, ale dźwięk się wyłączył. Powietrze nie pachniało jakoś specjalnie pięknie, jak to w centrum. Bruk był jeszcze odrobinę mokry, bo po południu spadł wiosenny deszcz, nie pamiętam żadnych innych szczególnych okoliczności. Spojrzałem w górę. Nade mną wznosiła się biała wieża kościoła, pięknie oświetlona. Patrzyłem na nią długo. Wieża spoglądała na mnie, ja na wieżę. Bez kontekstów religijnych. To nie było tak, że patrząc na ten kościół, rozmawiałem w myślach z Bogiem. Nie, ja chyba w ogóle nie myślałem. Podobało mi się to patrzeć na strzelisty, nieruchomy budynek, bo był stały. I się do mnie nie odzywał.



Jakie to było dobre, jakby założyć słuchawki i iść w nich przez miasto — nikt cię nie zaczepi.

Nie pamiętam, ja tam wtedy chyba niezbyt długo siedziałem. Nawet się porządnie nie napiłem. A rano wstałem i zadzwoniłem do znajomej, która poprzedniego wieczoru siedziała na Placu po mojej lewej stronie, leżak w leżak.

— Luiza, mam sprawę — powiedziałem prędko, chociaż wiedziałem, że przecież się nie rozmyślę.

— Tak? — spytała szybko. Zbyt szybko. Zrozumiałem, że zadzwoniłem do niewłaściwej osoby.

— Jak tak wczoraj siedzieliśmy... — zacząłem niezręcznie, bo umknęło mi, że ja się jej chyba podobam trochę. Mnie ona się nie podobała, lubiłem ją po prostu, więc zanim zadzwoniłem do niej z rana, w ogóle nie przyszło mi do głowy, że może nie być zadowolona z naszej rozmowy.

— No...? — podchwyciła od razu. — Bo taki właśnie byłeś wczoraj zamyślony jakiś... jakby...

— No tak. Bo myślałem sobie o czymś. A... czy nie znasz kogoś, kto szuka mieszkania w centrum?

— Mieszkania w centrum... po... czekaj chwilę... — Czuję wręcz namacalnie, jak w jej głowie myśli szaleją niczym wiewiórki na gałęzi.

— Pomyślałem, że spytam ciebie, Luiza, bo jesteś taka obrotna i... masz tylu znajomych...

Dziś, kiedy patrzę na siebie z dystansu, wiem, że nigdy więcej nie powiedziałbym czegoś takiego kobiecie, ale w tamtym momencie było już za późno. Luiza na szczęście była na tyle mądra (zresztą była starsza ode mnie o jakieś dziesięć

lat), że nie wpisała mnie od razu na listę mężczyzn do znienawidzenia, tylko westchnęła i pokryła się całą uprzejmością. Też bym tak zrobił.

— Wiesz dobrze, że gdybym nie była agentką gwiazd, na pewno byłabym świetną agentką nieruchomości. — Roześmiała się nawet przekonywająco i dodała: — Jasne, popytam. Możesz na mnie liczyć. — I odłożyła telefon.

I następnego dnia dzielna Luiza zadzwoniła, a dwa tygodnie później podpisałem umowę przedwstępną sprzedaży mojego mieszkania.

Tak mi się wtedy poszczęściło. Albo też udawałem, że nie wiem, co dokładnie robię, a naprawdę wiedziałem wszystko.

Sprzedalem to mieszkanie za gotówkę, dwa tygodnie pomieszkałem u rodziców, a następnie, zapakowawszy do wozu część życia, pojechałem do notariusza w Jeleniej Górze, żeby podpisać umowę kupna mojego nowego starego domu w górach. Poprzedni właściciele, którzy kupili go kiedyś od mojej babci, gdy była zbyt niedołączna, żeby móc o niego dbać, wyprowadzili się stamtąd już jakiś czas temu. Dom stał pusty, a ja mogłem się od razu wprowadzać.

Pamiętam jeszcze, że gdy wyjeżdżałem z Warszawy, gdzieś na przedmieściach pomyślałem, żeby się zatrzymać i jakoś uczcić tę chwilę, że oto opuszczam miasto, ale zamiast tego dodałem gazu.

Takie to wszystko było proste. Dużo prostsze, niż się spodziewałem. Trudniejsze było może jedynie to, czego oczekiwałem tam, w nowym miejscu. W nowym miejscu chciałem od razu być swojakiem. Nie chciałem być nowy, przechodzić przez cały proces zaznajamiania się. Mogliby nawet mówić

o mnie: ten niemiły sąsiad. Co tam, bylebym nie musiał, kupując bułki w sklepie, odpowiadać na ciekawskie pytania, na znaczące spojrzenia (że mnie rozpoznają...), wyjaśniać dlaczego, słuchać o tym, że w telewizji wyglądam na szerszego, i dziękować za propozycje pomocy w tym i owym (przecież ludzie są nie tylko ciekawscy, mają też dobre chęci).

Codziennie. Na początku tak by było codziennie. Potem by im się znudziło. A ja nie chciałem przechodzić nawet przez ten początek. Nie, nie byłem zbyt dumny, by rozmawiać, nie byłem pyszałkowaty. Po prostu nie chciałem prowadzić takich rozmów. Już nie. Ja sobie od wtedy chciałem pomilczeć w życiu. I żeby nikt tego mojego milczenia nie oceniał. I wiecie, co zrobiłem? Przyjechałem tam z psem. Po drodze kupiłem psa. Właściwie wziąłem go ze schroniska. Ja, człowiek, wziąłem psa, aby chronił mnie przed innymi ludźmi. Można więc powiedzieć — wybrałem zwierzę. Pomyślałem: pies nie będzie gadał głupot, nie będzie przede mną udawał kogoś, kim nie jest, nawet nie spróbuje głupio się uśmiechnąć, kiedy nie będzie wiedział, co do mnie powiedzieć. Pies to pies. Szacun dla psa. Ale wtedy nie wiedział jeszcze, dopóki nie powstała między nami głęboka, duchowa więź, że biorąc go, myślałem sobie tylko, że mężczyzny, który ma przy sobie wielkiego czarnego psa, nie będą zaczepiać. I wiecie co, nie zaczepiali. Oczywiście to okrutny pomysł, wysługiwać się w ten sposób psem, ale z czasem zapomniałem o tym, z jakiego powodu go wziąłem. Nie pamiętam już o tym, kiedy rano podnosi łeb, słysząc, że wstaję, i kiedy niespiesznie schodzimy na dół, do kuchni, zrobić mi pierwszą kawę. I nie pamiętam w ogóle o tym, kiedy biorę smycz, on już czeka, a potem idziemy

na długi spacer. Pies jest mój, a ja jestem Psa. Idziemy przed siebie, aż dochodzimy do wąskiego strumienia pełnego ciemnych pijawek, porośniętego paprociami i niezapominajkami, chłodnego i czystego. On pije wodę, a ja przypominam sobie, jak moja siostra bawiła się tymi pijawkami, kiedy była mała. Oczywiście, głupio zabrzmiało — to nie były te same pijawki, ale miejsce było to samo, tylko jakieś trzydzieści lat temu, nie pamiętam dokładnie. Brała pijawki do ręki i pokazywała:

— Patrz, jak się śmiesznie rozciągają te dżdżowniczki!

I się śmiała. A potem pokazaliśmy je babci — a babcia powiedziała, że to pijawki i weź to, dziecko, wrzuć na powrót do wody, i nagle te dżdżowniczki wydały mi się wstrętne, bo już wiedziałem, co to są pijawki, bo byłem starszy, chodziłem do szkoły i wiedziałem więcej niż moja mała siostra. Teraz dziwi mnie tylko, że w ogóle się do niej, do mojej Kasi, nie przyczepiały. Pamiętam też, że strasznie nas bawiło, że mogą być takie grube, a chwilę później długie i chude. Babcia siedziała pod drzewem i pozwalała nam się bawić w co tylko chcemy, choć wiem, że miała na nas oko. Ale kiedy moja siostra dorosła, widziałem, że dziwnie się to układa — jej dzieci nie mogły robić wszystkiego, to ona robiła wszystko za nie, bawiła je, bawiła się z nimi i wiecznie miała na nie oko.

— Nie wchodź na ten murek, bo spadniesz! — strofowała najstarszą.

W rezultacie najstarsza nie umiała nawet jeździć porządnie na rowerze. A nasza babcia zjeżdżała z nami na sankach ze stromizny i sterowała nimi niczym najlepszy rajdowiec. Myślę, że złapałaby się za głowę, gdyby zobaczyła, jak obecnie wychowuje się dzieci. Gdyby żyła, toby się złapała. I jeszcze

myślę, że ja bym tak zrobił z moimi dziećmi, gdybym je miał, żeby było bardziej jak u mojej babci. Nie chciałbym mieć niefacetowatego syna ani rozmemłanej córki. Chciałbym, żeby potrafili sobie stworzyć swój świat i bawić się tym, czym dziś dzieci już się bawić nie potrafią. I, do cholery, niech to będą nawet pijawki!

Ale co tu dużo mówić, to tylko puste słowa, kiedy się dzieci nie ma. Może bałbym się o nie tak samo jak Kaśka o swoje i nie umiałbym im niczego odmówić. Nie wiem. Niewiele wiem o tym świecie. O żadnym innym zresztą też nie. Mój świat obecnie w ogóle jest o wiele węższy niż kiedyś. A może wcale nie...

Przynajmniej mam internet. Myślę, że skoro mam internet, to nie jestem jeszcze takim nienadającym za rzeczywistością wariatem. Poza tym nie mógłbym zrealizować swojego planu bez internetu i musiałbym co miesiąc wstępować do banku, na pocztę, po gazety, do sklepów itp. Internet załatwia mi wszystkie sprawy, rozwiązuje moje problemy, oddziela mnie. Więc nie jestem wariatem, kiedy tak stoję z Psem nad brzegiem strumienia, tylko facetem, któremu się odechciało wielu rzeczy.

Pies strzyże uszami i zerka na mnie. To znak, że powinniśmy już wracać. Zrobimy sobie śniadanie.

Zostawiamy siostrę, babcię, pijawki i paprocie nad strumieniem. Odwiedzimy je jutro.

Ale w drodze powrotnej znów mi się moja siostra przypomina, bo tak dobrze było mi jako dziecku z babcią, że nie mogę z irytacji na Kaśkę zatrzymać tych myśli. Przecież

moja siostra nie pozwalała swojej najstarszej, Justynce, kiedy była mała, nawet biegać po domu!

— Bo się walniesz o jakiś wystający kant!

Pomijam, że kanty z reguły wystają (pomijam, bo kocham moją siostrę), a Justynce przydałoby się, żeby parę razy się walnęła i spociła, bo to wielu rzeczy się wtedy człowiek uczy o swoim ciele. Ale nie mogłem się wtedy odezwać, bo przecież „nie znam się na dzieciach”.

Chciałem kiedyś Justynce kupić łuk i strzały, żeby sobie trochę postrzelała (przyznaję, byłby to prezent z pewną dozą złośliwości), ale zrezygnowałem. To nie jest moje życie, nie będę się wtrącał. Myślę też, że nigdy tu do mnie nie przyjadą, bo napisałem, że u mnie w tym roku jest dużo kleszczy. Znam moją siostrę i wiem, że kleszczy boi się panicznie, więc nie będzie ryzykowała i dopóki te kleszcze będą u mnie w trawie wszystkie siedziały, dopóty ona zapewne nie pojawi się tu z dziećmi.

Poza tym ona pewnie myśli, że gdyby przyjechała, to może, tak na żywo, nie umiałaby ze mną rozmawiać. Przez telefon łatwiej. No i — po tylu latach! Nie wiem, mnie tam milczenie nie przeszkadza. Ja już nie muszę dużo mówić. Ale rozumiem, że to może być niewygodne.

Nie mówię za dużo, ale przecież myślę. Myślę cały czas. To zabawne, że będąc mniej z ludźmi, jestem z nimi jakby więcej. Tak często rozmyślam o tym, co było i co jest związane z moją rodziną, ze wszystkimi bliskimi mi osobami, z którymi kontakt urwał się ostatecznie po jakimś czasie. One ciągle siedzą w mojej głowie. I są w niej też inni ludzie, których nawet nie znam. Nie przesadzę, jeśli powiem, że jest w mojej głowie

cała ludzkość. Często się na przykład zastanawiam, co kieruje człowiekiem, co go popycha nawet nie tyle do zachowań skrajnie ekstremalnych, ile tych pomniejszych. Nie tyle do działań w afekcie, walki o władzę, ile do dręczenia na co dzień innych, do drobnej nieuczciwości, do niechęci. Jestem facetem, który myśli o takich rzeczach. Nie rozczulam się nad tym, analizuję to. Tylko nie zawsze coś mi z tego wynika, bo i ludzie nie zawsze są przewidywalni. To niezbyt wielkie odkrycie... Chodzi mi o to, że kiedy rozmyślam na przykład nad moim kumplem, jedynym przyjacielem, jakiego miałem, to widzę konsekwencję, spokój i radość z drobnych rzeczy. I to mi się podoba. To mi imponuje. I myślę sobie: kurde, ludzie, tak się da! W jego przypadku nie chodzi o to, że on śpi na kasie, bo żyje z renty, więc jego optymizm nie wynika z dobrobytu. On po prostu w którymś momencie, tak jak ja, zatrzymał się w miejscu, nie chciał brnąć dalej w te niepotrzebności. Twierdzi, że w ogóle niewiele już potrzebuje. Rzeczywiście nie widzę, żeby brakowało mu tego wszystkiego, czego potrzebuje większość ludzi. Więc jakby można. Co więcej, wydaje mi się, że wtedy terażniejszość smakuje zupełnie inaczej. Wiem już coś o tym. Na przykład mam takie dni, kiedy wstaję rano i nic nie pcha mnie w żadną stronę. Nie czuję, że muszę coś zrobić, że tracę dzień. Jestem. Wstaję. Idę z Psem nad strumień. I to wszystko dzieje się bez zegarka, bez konieczności umieszczania tego w planie dnia. To nie jest żaden punkt pierwszy, drugi ani siódmy, bo takiego planu nie ma. Oczywiście, że czasem zdarza się dzień, kiedy mówię do Psa:


— Stary, no, dziś to już na pewno zrobimy pranie.





# PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
  2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
  3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA  
**Helion** 


M., przygarnąwszy Psa, rozpoczyna ucieczkę przed światem i ludźmi. Nie jest to jednak ucieczka totalna. Samotności musi się dopiero nauczyć — na początku bowiem tęsknota za obecnością drugiego człowieka jest trudna do zniesienia. Z tym że w tej nauce nie ma smutku ani przygnębienia. Mijające pory roku i czas uczą M. życia w harmonii z samym sobą, z naturą, a także minimalizują jego materialne potrzeby. Ostatecznie, po wielu latach i przejściach, M. decyduje się na to, aby jego jedynymi towarzyszami byli Pies, ławka przed domem oraz on sam.

## Debiutancka minipowieść **Dominiki Kluźniak**

*Okoliczności, w których bohater mojej powieści układa sobie na nowo życie na obrzeżach cywilizacji i poza społeczeństwem, to trochę moje wyobrażenie na temat tego, co by było, gdyby tak móc schować się przed światem.*

**Dominika Kluźniak** — wrocławianka, absolwentka warszawskiej Akademii Teatralnej, aktorka Teatru Narodowego w Warszawie. Występowała również na scenach stołecznych teatrów Współczesnego i Dramatycznego. Można ją oglądać na wielkim i małym ekranie w filmach (m.in.: *Lejdis, Randka w ciemno, Jak się pozbyć cellulitu*), serialach (m.in.: *Kryminalni, BrzydUla, Ja to mam szczęście!, M jak Miłość*) oraz w Teatrze Telewizji. Laureatka wielu nagród teatralnych. Użycza głosu w telewizyjnych bajkach dla dzieci oraz produkcjach kinowych. Mama dwóch córek.

 **editio**

 **Księgarnia internetowa:**  
<http://editio.pl>

 **Zamówienia telefoniczne:**  
**0 801 339900**  
 **0 601 339900**

Sprawdź najnowsze promocje:  
● <http://editio.pl/promocje>  
Książki najchętniej czytane:  
● <http://editio.pl/bestsellery>  
Zamów informacje o nowościach:  
● <http://editio.pl/nowosci>

Helion SA  
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice  
tel.: 32 230 98 63  
e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)  
<http://editio.pl>

ebook dostępne wyłącznie na:  
**ebookpoint<sup>PL</sup>**



ISBN 978-83-283-5484-5



Cena 34,90 zł